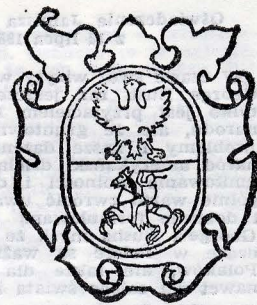


NSZZ

CZYTELNIA PRASY

BIAŁYSTOK

Solidarności



„W KONFLIKCIE MIĘDZY WŁADZĄ A LUDEM—RACJĘ MA ZAWSZE LUD” (Jan Paweł II)

NR 176 BIULETYN INFORMACYJNY 25. VII. 1989 r. Cena 100 zł



K. FALKOWSKI

Wasz prezydent, nasz premier?

Przedłużający się „kryzys prezydencki” sprawi, że wydarzeniem ostatnich dni w Polsce — obok inauguracji nowego Sejmu i restytuowanego Senatu, wizyty prezydenta George’a Busha — stał się artykuł Adama Michnika *wasz prezydent, nasz premier* wyrukowany na łamach „Gazety Wyborczej”. Autor w następujący sposób argumentował dość szokującą propozycję zawartą w tytule:

„Potrzebny jest układ nowy, możliwy do zaakceptowania przez wszystkie główne siły polityczne. Nowy, ale gwarantujący kontynuację.

Takim układem może być porozumienie, na mocy którego prezydentem zostanie wybrany kandydat PZPK, a teka premiera i misja sformowania rządu powierzona kandydatowi „Solidarności”.

Taki prezydent będzie gwarantował ciągłość władzy, umów międzynarodowych i wojskowych sojuszy. Taki rząd będzie miał mandat ogromnej większości Polaków i zagwarantuje konsekwentną zmianę systemu gospodarczego i politycznego”.

Propozycja Michnika wywołała wiele komentarzy tak w kraju, jak i za granicą. Znowu ożywiła się dyskusja na temat granic reform w Polsce, na temat stosunku Związku Radzieckiego do demokratycznych przemian w środkowej Europie. Tymczasem kierownicze gremia „Solidarności” wydawały się skonsternowane. Z różnych stron sugerowano, że artykuł w „Gazecie Wyborczej” nie zawiera nic prócz osobistych sądów autora i nie można go uważać za tożsamy ze stanowiskiem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

Jednak dało się odczuć, że wielu nowo wybranych posłów i senatorów z niecierpliwością i ciekawością oczekiwało jakiegoś sygnału, jakiejś odpowiedzi, szczególnie ze strony wschodniego sąsiada. Nie trzeba było długo czekać. Chociaż należy przyznać, że nikt z establishmentu radzieckiego nie spieszył się z reakcją. Jednak wścibscy dziennikarze wycisnęli już w kilka dni później z czołowych doradców Gorbaczowa, jaki byłby stosunek ZSRR do rządu polskiego stworzonego przez „Solidarność”. Zagladin odpowiedział, że ZSRR uznałby każdy legalnie ukonstytuowany rząd polski. Wielu dziennikarzy zachodnich, ale i wielu posłów i senatorów „Solidarności” uznało tę wypowiedź za rodzaj aprobaty dla propozycji Michnika.

Zbigniew Bujak: „Wbić zęby w stół”

— Chciałbym prosić o krótki wywiad dla „Biuletynu Informacyjnego” białostockiej „Solidarności”. Może zaczniemy od...

— Mam ten problem z tobą, że jesteś z Białegostoku. Jest to region, gdzie są skupiska Białorusinów. Stamtąd powinien być za wszelką cenę wysunięty przez wasz komitet regionalny „Solidarności” kandydat Białorusin do Sejmu lub Senatu. Cały interes społeczny tego kraju i cały interes „Solidarności” przemawia za tym, żeby z Białegostoku wysunięty był Białorusin. Nawet gdybyście mieli tylko jeden mandat, to ten mandat należało oddać Białorusinowi, bo tego wymaga interes kraju. Jeśli to nie zostało zrobione, nie tego nie usprawiedliwia. Polityka polska traci w tym momencie strasznie dużo. Oczywiście to wszystko jest z czasem do nadrobienia, uładzenia, ale nie zrobiliśmy tego na pierwszym etapie.

— Być może tak jest rzeczywiście, ale tam, gdzie mieszkają Białorusini, „Solidarność” nie jest zbyt silna. Pojawiły się tam nawet głosy, że jest organizacją wręcz faszystowską. Białorusin, który występowałby z ramienia „Solidarności”, mógłby zostać odrzucony przez społeczeństwo białoruskie...

— Znasz umowę polityczną z Białorusinami?

— ???!

— Umowa ta mówiła tyle: Tam gdzie Białorusini wystawiają swojego kandydata, tam Komitet Obywatelski „Solidarność” swojego kandydata nie wystawia. To jest ten kompromis, który bierze pod uwagę fakt, że Białorusinom nie podoba się na obecnym etapie występowanie pod wspólnym szyldem z „Solidarnością”. Ja rozumiem ich argumenty, rozumiem ich sytuację i uważam...

CIĄG DALSZY NA STR. 6

CIĄG DALSZY NA STR. 7

KRONIKA ZWIĄZKOWA

Z kraju

Oświadczenie Janusza Onyszkiewicza
z 12 lipca 1989 r.

W czasie swej wizyty w Polsce prezydent George Bush raz jeszcze pokazał, że nie tylko jest przyjacielem Polski i polskiego narodu, ale że gruntownie rozumie nasze problemy i nasze dążenia, że on i cały naród amerykański dzieli z nami te same umiłowanie wolności i demokracji. Szczególnie warto zwrócić uwagę na tak często i dobitnie formułowaną przez prezydenta George'a Busha myśl, że przemiany zachodzące w Polsce są ważne nie tylko Polaków, ale także dla całej Europy, a nawet dla całego świata i że tym zmianom wszystkie demokratyczne kraje winny okazać pomoc i wsparcie. Zapowiadana pomoc gospodarcza Stanów Zjednoczonych stwarza uzasadnione nadzieje na szybkie wypracowanie i wprowadzenie w życie przez uprzedmiotowione kraje demokratyczne szerokiego, wspólnego programu pomocy w reformowaniu polskiej gospodarki, a także na rozwiązanie problemu polskiego zadłużenia. Wizyta prezydenta Busha potwierdziła raz jeszcze, że naród polski ma na Zachodzie przyjaciół, na których może liczyć. Stwarza to też nadzieje na to, że historyczna szansa pokojowego przejścia krajów w naszej części świata od totalitaryzmu do demokracji nie zostanie zaprzeczona.

Gdańsk, 6 lipca 1989 r.
Do
Regionalnych Komisji
Służby Zdrowia

APEL DO PRACOWNIKÓW SZŁUBY ZDROWIA

Prezydium Krajowej Komisji Koordynacyjnej Pracowników Służby Zdrowia NSZZ „Solidarność” — po zapoznaniu się z dramatyczną sytuacją bytową naszej grupy zawodowej, grożącą załamaniem się systemu opieki zdrowotnej kraju, wobec fiaska rozmów płacowych z Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej — apeluje do wszystkich pracowników służby zdrowia o podjęcie masowych akcji protestacyjnych.

Wzywamy do wywieszania flag i oplakotowania naszych zakładów pracy, do zakładania opasek biało-czerwonych i stosowania innych form protestu nie godzącego w dobro chorego.

Ustanawiamy kolejne środy lipca (12, 19, 26) dniami ogólnokrajowego protestu. Od godziny 12.00 do 12.30 — wychodzimy na zewnątrz budynków, prowadząc akcję informacyjną.

Pogłębiająca się deprecjacja zawodów medycznych uderza przede wszystkim w pacjentów, którym niedługo nie będzie miał kto się opiekować.

Za
Prezydium Krajowej
Komisji Koordynacyjnej
Pracowników Służby Zdrowia
NSZZ „Solidarność”
ALINA PIENKOWSKA
Przewodnicząca

Z regionu

W dniu 13 sierpnia o godz. 9 w budynku Akademii Medycznej w Białymstoku odbędzie się zebranie Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalnowskiego. Tymczasowy zarząd związku zaprasza wszystkich więźniów politycznych z lat 1939—56 i „żołnierzy górników” zamieszkałych w woj. białostockim, łomżyńskim i suwalskim.

Zarząd prosi o kontakt i potwierdzenie przybycia pod następującymi adresami:
SZLEDZIŃSKI JANUSZ 15-820 Białystok,
ul. Zagórna 17 m 7
ZALESKO MARIAN tel. 41-47-39, Białystok.

— ☆ —

Przepraszamy Czytelników za błędy, które wkradły się do 175 numeru. Na zdjęciu był oczywiście poczet sztandarowy regionalnej „Solidarności”, a nie KKW, natomiast demonstracja przeciwko ludobójstwu w Chinach odbyła się 26.06.

Redakcja

UWAGA

Redakcja uprzejmie informuje, że „Biuletyn Informacyjny” można nabywać w Biurze Prasowym NSZZ „Solidarność” w Białymstoku, ul. Nowotki 13 pokój 213 (w godz. 12—16).

Prezydent Bush w Polsce

Sytuacja polityczna Polski w stosunku do roku 1987, kiedy to George Bush odwiedził nasz kraj, zmienia się tak dalece, że dzisiaj nie Wałęsa, lecz Jaruzelski zabiega o wsparcie propagandowe, o publiczne gesty kurtuazji prezydenta USA. Pewnym zaskoczeniem dla obserwatorów polskiej sceny politycznej były niedwuznaczne słowa sympatii amerykańskiego gościa kierowane pod adresem polskiego generała. Być może rzeczywiście Bush został zaskoczony skalą i głębokością naszych przemian, być może uznał także, że procesy reform politycznych mogą wybardzić zachowanie status quo niż osoba wołać zaniepokojenie Kremia i że osoba generała Jaruzelskiego gwarantuje daleko Lecha Wałęsę jako prezydenta, mimo oczywistych uczuć szacunku Busha dla przywódcy „Solidarności”.

Dużo większe oczekiwania — niż oczekiwania polityczne — wiązano z ekonomiczną

wymową wizyty prezydenta USA. Pierwsze reakcje zarówno opozycji, jak i rządu, były powściągliwe. Po obu stronach dawano wyraz pewnemu rozczarowaniu wysokością oferowanej pomocy. Czy jednak można było liczyć na więcej i czy pomoc zaproponowana przez Busha jest tylko „kroplówka finansowa”?

Bush zaoferował 100 mln dolarów na rozwój polskiego sektora prywatnego, pomoc w uzyskaniu 325 mln dolarów kredytów wspomagających przemysł i rolnictwo oraz 15 mln dolarów na ratowanie Krakowa. Ostatnia kwota ma chyba charakter daru, natomiast nie jest jasne, czy owe 100 mln dla sektora prywatnego będzie darowizną, czy też raczej pożyczką długoterminową. Najistotniejsze wydaje się jednak przyrzeczenie George'a Busha, iż będzie wspierał polskie wysiłki zmierzające do restrukturyzacji zadłużenia w ramach tzw. Klubu Paryskiego. Gdyby to się uda-

ło, Polska uzyskałaby naprawdę duże korzyści. Prezydent zresztą oświadczył był oficjalnie, że rząd USA zastosuje wobec polskiego długu 5-letni okres karencji, co oznacza 5-letni okres łaski wobec spłaty zaległych zobowiązań finansowych. Jak się zachowają inne rządy skupione w Klubie Paryskim, to się dopiero okaże.

Nie jest to oczywiście pomoc, która odpowiadałaby społecznym nadziejom rozbudowanym projektem ekonomistów „Solidarności” (10 mld dolarów kredytu!) przekazanym prezydentowi Mitterrandowi. Ale może lepiej jest korzystać ze stopniowej pomocy Zachodu ożywiającej gospodarkę rynkową, niż obserwować, jak zwiększa się polski dług i giną pieniądze w molocho gospodarki państwowej, bo przecież nie możemy zapominać, że Zachód nie będzie wspierał sektora zarządzanego na komunistyczną modłę.

(S. R.)

Żeby nam się chciało chcieć

Powtórzę slogan, wielokrotnie przytaczane twierdzenie o naturze Polaków, którzy zdolni są do poświęceń, do skrzyknięcia się w imię wyższych racji, ale tylko jednorazowo, od święta do święta. Nie stać zaś nas na żmudną, systematyczną pracę. Przyznam się, że mierzył mnie ten pogląd, uważałem go za typowy produkt zachodnich społeczeństw, które plawiąc się w wolności i dostatku zupełnie nie potrafiły zrozumieć naszego narodu, skazanego — przez swoje usytuowanie — na taki, a nie inny los. A tu przecież zabory, Rosja, Niemcy, wreszcie komunizm. Cud boski, żeśmy przetrwali i powód do dumy. Tak, powód do dumy, ale...

Spustoszenia w naszej świadomości, spowodowane wegetowaniem (tego nie można nazwać życiem) w ustroju komunistycznym, obserwuję na każdym kroku. Widzę je w postawie tepego urzędnika, w zachowaniu wulgarnej sprzedawczyni, która łaskawie zrewolmi mi nabyć towar w sklepie, w bezradności i apatii działacza związkowego. Czy oni też 4 czerwca głosowali na „Solidarność”? Jeśli nie oni, to im podobnie. Mało że głosowali, możliwe że wcześniej zbierali podpisy na naszych listach, agitowali, rozprowadzali cegiełki. Wykonali kawał ciężkiej roboty.

Wykonali... I znowu skrzyknęliśmy się na

akcje, mieliśmy swoje święto. Teraz nadchodzi dzień powszedni, czas systematycznej pracy. Czyżby slogan był prawdziwy?

Nie zaskakuje mnie liczebność naszego Związku. To można było przewidzieć. Nikt przy zdrowych zmysłach nie liczył na podobną falę entuzjazmu przy wstępowaniu do „Solidarności” jak w roku 1980. Przeraża mnie natomiast apatia i bezradność działaczy związkowych, ludzi, którzy powinni być siłą napędową „Solidarności”. Pomijamy sprawę fachowego przygotowania — nie było na to czasu, ale nie mogą spokojnie patrzeć na brak zaangażowania. To, że czeka społeczeństwo — jestem w stanie zrozumieć, na co jednak czekają nasi działacze?

Naprawdę tylko nielicznym się chce, założy na czymś. Rozprowadzają prasę, próbują organizować ludzi wokół konkretnych spraw, współdecydować o losie własnego zakładu. Inni, poza tym że zostali wybrani, nie robią nic. Narzekają jedynie na ludzi, że się boją, że nie im się nie chce. A tak naprawdę to właśnie oni się boją i to im się nie chce. Jestem przekonany, że wielu z nich nie odwiedzało regionalnej siedziby „Solidarności” więcej niż raz — przy składaniu deklaracji.

Przyszli do nas kiedyś jeden z działaczy z pretensjami, że w „Biuletynie” nie

może przeczytać, co jako przewodniczący powinien robić w swoim zakładzie pracy. Odpowiem mu: jeśli się nie wie, co należy robić w swoim zakładzie pracy, trzeba jak najszybciej złożyć rezygnację z funkcji przewodniczącego.

Inny związkowiec rozprowadził w fabryce liczące ponad 2 tys. ludzi 40 (słownie: czterdzieści) egzemplarzy naszego pisma. Ze słowami „nie idzie” zwrócił nam pozostałe numery. Z innych źródeł wiem, że w tym zakładzie, podobnie jak i w innych, założył nawet nie słyszały, że „Biuletyn” zaczął ukazywać się oficjalnie. Brzmi to jak paradoks, ale dwaj kilkumastoletni chłopcy rozprowadzają trzy czwarte pięciotysięcznego nakładu na ulicy (ludzie kupują bardzo chętnie), podczas gdy ponad 120 działaczy (przynajmniej tyle jest komisji zakładowych) mierzli się z trudem z jednym tysiącem. Nie pisałyby o tym, gdyby nie zależało nam na docieraniu pisma przede wszystkim do zakładów pracy. O terenie wole nie wspominać. Rolnicy zaproponowali nam, abyśmy do każdej gminy wysłali „Biuletyn” pocztą!

Kochani działacze, na szczęście są jeszcze kilkumastoletni chłopcy, którzy robią to, czego wam się nie chce. Są dwudziesto-

CIĄG DALSZY NA STR. 6

MASS MEDIA

Dokumenty podpisane przez uczestników obrad podzespołu ds. środków masowego przekazu trudno uważać za efekt dobrze wyważonego kompromisu. Ustalenia tego „podstolika” tylko w niewielkim stopniu naruszają dotychczasowy stan rzeczy i — co gorsza — nie projektują żadnych systemowych zasad przyszłej polityki informacyjnej. Z pewnością można sądzić, że „bylejakość” podpisanych porozumień wynika z braku zdecydowanego stanowiska strony koalicyjno-rządowej, która nie potrafiła (a może bała się) skoordynować śmiałej wizji reform politycznych i ustrojowych z jakąś koncepcją pluralizmu informacyjnego. Doprowadziło to do paradoksalnej sytuacji: lektura porozumień „okrągłego stołu” może nasunąć wniosek, że system masowej komunikacji jest zdecydowanie mniej „reformowalny” niż ustroj polityczny...

Chociaż władza bardzo niechętnie rezygnuje ze swego monopolu w dziedzinie „mass-medów”, to jednak stronie opozycyjnej udało się dokonać tu kilku ważnych wyłomów. Przypomnijmy, że uzyskano porozumienie w sprawie wznowienia „Tygodnika „Solidarność” i regionalnych tygodników związkowych (których — w przeciwieństwie do roku 1981 — nie wyłączono spod cenzury). Strona opozycyjna wywalczyła też zgodę władz na wydawanie ogólnopolskiej gazety wyborczej, która po wyborach przekształcała się w dziennik opozycyjny. Natomiast strona rządowo-koalicyjna zobowiązała się do zmian w prawie prasowym, w myśl których wydawanie nowego tytułu prasowego i założenie wydawnictwa wymagać będzie tylko rejestracji, a nie — jak do tej pory — pozwolenia (koncesji) kompetentnych organów administracji państwowej lub Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk (zmiany te stały się faktem jeszcze w kadencji poprzedniego sejmu).

Nie powiodła się próba prawnego uregulowania statusu tzw. drugiego obiegu wydawniczego. Prócz ogólnikowej deklaracji strony rządowej „kontynuowania liberalnej polityki” wobec niezależnych ośrodków nie uzyskano zbyt wiele. W nieokreślonej przyszłości realnie mają stać się możliwości druku poza cenzurą niektórych miesięczników i kwartalników o charakterze naukowych, eseistycznym i kulturalnym. Spod cenzury mają być wyłączone również wszelkie wydawnictwa w zamkniętym kolportażu stowarzyszeń (efektem tego ustalenia jest niezależna inicjatywa Stowarzyszenia Wolnego Słowa — do tego tematu jeszcze powrócimy).

Natomiast jeśli chodzi o dostęp opozycji do środków audiowizualnych, to nie uzyskano praktycznie niczego. Strona koalicyjno-rządowa zdecydowanie przeciwstawiła się wszelkim próbom uspołecznienia Radiokomitetu i wyzwolenia go spod władzy partyjnej nomenklatury. Argumentowi, że radio i telewizja są własnością całego społeczeństwa, a nie rządzącej partii (co powinno znaleźć odzwierciedlenie tak w strukturze programowej tych instytucji, jak i w sposobie zarządzania nimi), uparcie przeciwstawiano tezę o „autentycznym poszerzeniu pluralizmu opinii w programach radiowych i telewizyjnych”. W rezultacie „Solidarność” musiała zadowolnić się przyznaniem jej cotygodniowego półgodzinnego programu telewizyjnego i godzinnego programu radiowego. Dodatkowo opozycja uzyskała prawo do repliki, sprostowania i polemiki, co jest zdobyczą niewątpliwie dużą ważniejszą. Jak się wydało, prawo to poważnie ograniczyło możliwości prowadzenia bezkarnych kampanii propagandowych posługujących się kłamstwem i pomówieniem, a wymierzonych w „Solidarność”, których świadkami tak często byliśmy w roku 1981.

W czasie obrad zespołu do spraw środków masowego przekazu mówiono jeszcze o wielu innych problemach (m.in. o cenzurze, o prywatnej, niezależnej telewizji kablowej), lecz rozmowy te nie doprowadziły do żadnych konkretnych ustaleń. Dlaczego osiągnięto tak mało? Podstawową przyczyną jest konserwatywne nastawienie strony rządowej, przy czym jej upor w utrzymywaniu dotychczasowego systemu informacyjnego nie należy tłumaczyć długoletnimi przyzwyczajeniami i nawykami, a raczej ogólnymi, dość czytelnymi założeniami taktycznymi (najpewniej ustalono je na bardzo wysokim szczeblu).

Łatwo zauważyć, że największe ustępstwa zostały poczynione w tych dziedzinach, gdzie obieg informacji nie ma rzeczywistego charakteru: systematyczny kontakt z wydawnictwami drugiego obiegu ma co najwyżej kilkadziesiąt tysięcy ludzi; zasięg prasy opozycyjnej — wobec monstrualnych trudności z papierem (a monopol RSW „Prasa” nie został naruszony) — jest również ograniczony. Natomiast programy radiowe i telewizyjne docierają praktycznie wszędzie i do każdego. Właśnie w tej dziedzinie niechęć rządzących do dzielenia się z opozycją posiadanym monopolem okazała się największa.

Świadczy to chyba o tym, że w środowiskach władzy w dalszym ciągu żywa jest tendencja, która każe środki społecznej komunikacji traktować jako instrument, jeśli już nie sprawowania, to przynajmniej podtrzymywania władzy politycznej. Mają one służyć nie tyle obiegowi informacji, co perswazyjnym artykułowa-

niu interesów elity rządzącej — właściciele radi i telewizji. Oznacza to w najogólniejszym sensie, że ich rola polega nie na bezstronnej prezentacji informacji i opinii na tyle różnych, że wykluczających możliwość ich jednoznacznej interpretacji. Chodzi tu raczej o „ideologiczną” preparację informacji; podawanie ich w kształcie sugerującym bardzo określoną interpretację (która zwykle nie zostaje wypowiedziana wprost) zgodną z interesami rządzących. Takie pojmowanie funkcji środków masowego przekazu zakłada również, że utrata kontroli nad nimi, szczególnie nad tymi o największym zasięgu, równa się utracie kontroli nad społeczeństwem.

Trzeba przyznać, że mamy tutaj do czynienia ze swolstą utopią. Niektórzy ludzie z kręgu władzy zdają się sądzić, że utrzymanie monopolu informacyjnego jest ostatnie gwarantem istnienia jednolitego i skutecznego centrum politycznego. Tymczasem choćby już przyniatająca klęska wyborcza koalicji rządzącej wskazuje, że utrzymanie monopolu informacyjnego wcale nie oznacza kontroli czy nawet istotnego wpływu na umysły obywateli. Czasami przynosi skutki odwrotne do oczekiwanych.

Konserwatywne nastawienie części aparatu państwowego wobec problemu audiowizualnych środków społecznej komunikacji podtrzymywane jest również przez rozpowсюżone w nim przekonanie o „propagandowej” roli Kościoła, jak i zagranicznych radiostacji polskojęzycznych. W tej sytuacji — zdaniem wielu ludzi z kręgu obozu władzy — utrzymanie monopolu informacyjnego przynajmniej w dziedzinie środków audiowizualnych jest koniecznością. W przeciwnym razie — sądzą oni — „głos partii” w ogóle nie będzie słyszalny. Utrzymanie obecnego stanu rzeczy jest w ogóle podstawowym warunkiem nawet nie zwycięstwa, a udziału w walce o „rząd dusz”.

Wobec takich postaw perspektywy „nowego ładu informacyjnego”, którego zarysy przedstawiono na ostatnim zjeździe reaktywowanego SDP, wydają się bardzo odległe. Realistycznie rzecz biorąc należy raczej myśleć o „częściowo nowym” ładzie informacyjnym. Pluralizm i demonopolizacja to wartości, które w najbliższych latach mogą kształtować rynek prasowy i rynek wydawniczy, o ile przewyższone zostaną bariery ekonomiczne (brak papieru). Natomiast w radiu i w telewizji zasada „kierowniczej roli partii” utrzyma się jeszcze długo i być może przeżyje samą partię.

Zbigniew Suszczyński



11 lipca w Białymstoku został zorganizowany przez KPN wiec protestacyjny przeciw ewentualnemu wyborowi osób (dotychczas zaangażowanych w nomenklaturze partyjno-rządowej) na stanowisko prezydenta. Wiek rozpoczął się na Ryнку Kościuski o godz. 15.30 przemówieniami działaczy PPS-RD, Solidarności Walczącej i KPN-u, w których żądano odejścia ekipy odpowiedzialnej za wprowadzenie stanu wojennego. Następnie, po wezwaniu pani S. Korolkiewicz do spokojnego manifestowania, demonstranci spokojnie ruszyli przez Rynek Kościuski, ul. Lipową na ul. Próchniaka, pod Komitet Wojewódzki. W tym czasie, wśród transparentów i ulotek, ok. 500 osób skandowało hasła: „Nie chcemy agenta, chcemy prezydenta”, „Więcej leków, mniej esbeków”, „Precz z komuną”, „Sowieci do domu”.

W momencie, kiedy manifestacja dochodziła do Komitetu Wojewódzkiego, z bloku nad księgarnią rolniczą rozwinął się 5-metrowy transparent podpisany przez Białostockie Grupy Oporu, PPS-RD, Solidarność Walcząca. Wiek zakończył się kolejnymi przemówieniami i odśpiewaniem hymnu państwowego ok. godz. 16.10. Warto zaznaczyć brak jakiegokolwiek interwencji czy prowokacji ze strony ZOMO lub SB.

Podobna manifestacja odbyła się 6 lipca, w tym samym miejscu i była również zorganizowana przez KPN.

(Jb)

„Ja sobie nie życzę”

Inżynier Eugeniusz Śluchocki na mocy porozumienia pomiędzy zakładami pracy 15 marca br. rozpoczął pracę w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Hajnówce. Został przyjęty na stanowisko mistrza czyszczalni ścieków. Dyrektor przedsiębiorstwa, Jerzy Wojcieszek, przyjął go pod warunkiem, że ten uruchomi nieczynną od 10 lat oczyszczalnię. Pierwszy dzień w nowej pracy przebiegł spokojnie. „Przyszedłem do biura — mówi p. Śluchocki — zostałem przedstawiony kierownikowi wodociągów, mojemu bezpośredniemu przełożonemu. Podpisałem pismo, że znam przepisy bhp, następnie kierownik zawiadził mnie na oczyszczalnię. Powiedział: Rób, co chcesz, i pojechał. A tu wszystko zdewastowane...”

Nowy szef oczyszczalni polecił pracownikom zebrać osad, zabrakło kopat — przywieziono je dopiero po kilku dniach — w zdobycie których, jak i innych materiałów, trzeba było wiozić nie lada wysiłek. „W tej sytuacji postanowiłem sam wszystko zrobić. Opracowałem plany remontu oczyszczalni, które przedstawiłem dyrektorowi. Ten tylko je obejrzał i nic nie powiedział. Jakoś mi robota szła, z ludźmi umiałem się dogadać... Nie chcę się chwalić, ale jeden z moich pracowników powiedział mi, że przez 5 lat nie zrobiono tu tyle, co ja przez 3 miesiące”.

Upliwiały miesiące, przyszła wiosna, w przedsiębiorstwie powstała „Solidarność”, w organizowanie której p. Śluchocki mocno się zaangażował.

9 czerwca został wezwany przez dyrektora, dowiedział się, że dyrektor nie jest zadowolony z jego pracy, więcej — w zasadzie przez ten czas nic dobrego dla zakładu nie zrobił, a ta „Solidarność”... „O, i tak z waszej „Solidarności” nic nie będzie!” — dorzucił dyrektor.

W kilka dni później pani Marińska, kierowniczka kadr, dostarcza p. Śluchockiemu pismo dyrektora o zakończeniu jego 3-miesięcznego okresu umowy o pracę, przestaje więc być pracownikiem przedsiębiorstwa, choć — przypominam — zatrudniony został w wyniku porozumienia zakładów pracy na czas nieokreślony. Tytuł z tego przez te miesiące pracował bez spisanej umowy. Chodził, prosił, ale p. Marińska nigdy nie miała czasu. W marcu podpisał tylko pismo, że zapoznał się z warunkami przyjęcia go do pracy, że po okresie 3 miesięcy będzie miał podwyższoną pensję. Ale pozostał mu mały papierek, dokument: „Upoważnia się obywatela na czas nieokreślony na wystawianie i pobieranie z magazynu materiałów potrzebnych do wykonywania usług przez oczyszczalnię ścieków [...]”. Data: 22 kwietnia, pismo wystawione przez dyrekcję PGKIM.

Zresztą w przedsiębiorstwie wiele osób pracuje bez spisanej umowy o pracę, niektórzy nawet przez rok. „Wiadomo, że takiego pracownika w każdej chwili można wyrzucić z pracy, jak to się stało w moim przypadku” — mówi E. Śluchocki. Dyrek-

cja zaproponowała mu stanowisko elektryka samochodowego. Odmówił. Skierował sprawę do Okręgowego Sądu Pracy w Bielsku Podlaskim. Pierwsza rozprawa już się odbyła, druga wyznaczona została na 17 lipca. W przedsiębiorstwie pracować nie może, dyrektor natomiast tak się zapędził, że publicznie rzucił groźbę — jeżeli Śluchocki wygra rozprawę, to on, Wojcieszek, zwolni z pracy kadrową „za niedopilnowanie obowiązków służbowych...”

Konflikt pomiędzy Jerzym Dmitrukiem, kierową w PGKIM a dyrektorem zaczął się wcześniej — 13 stycznia. Tego dnia po powrocie do bazy dyrektor Wojcieszek przeprowadził kontrolę jego karty drogowej — okazało się, że jej nie rozpiisał. „Wszystko się zgadza — mówi — skoro popełniłem przekroczenie, powinienem zostać ukarany przez dyrekcję”. Ale dyrektor po kilku dniach zrywa go i w obecności kadrowej i kierownika transportu wręcza mu wypowiedzenie umowy o pracę. Jednakże opozycyjni związkowi zawodowy decyzję dyrektora uchylili. „Myślałem, że na razie mam spokój. W lutym złożyłem u kierownika podanie o ustawowy urlop wypoczynkowy, które zostało przez niego przyjęte pozytywnie. Dotychczas było u nas w zwyczaju, że w sprawie udzielenia urlopu wypoczynkowego wystarczała decyzja kierownika”. Tym razem zadecydował sam dyr. Wojcieszek — pismem o zwolenieniu J. Dmitruka z pracy za... samowolne porzucenie pracy. „Podanie o urlop złożyłem poza dziennikiem, więc je po prostu ukradłem z kadr, żeby mieć dowód na założenie sprawy w sądzie”. 13 kwietnia wygrywa rozprawę sądową, sąd orzeka powrót Dmitruka do pracy na stanowisko kierowy, sąsiedza dyrektorowi opłacenie kosztów rozprawy sądowej (Dmitruk wynajął adwokata). „Od tego czasu Wojcieszek po prostu mści się na mnie. Np. nie dawał mi samochodu i musiałem, jako kierowca przeciw, zamiatać plac...” I znów rozprawa sądowa — 3 lipca, kolejną sąd wyznaczył na 10 lipca.

Kto wie, może gdyby nie powstanie „Solidarności” w PGKIM w Hajnówce, losy tych dwóch pracowników potoczyłyby się inaczej... Powstał Tymczasowy Komitet Założycielski „Solidarności” (obecnie na 180 pracowników do „S” zapisało się 30). Jerzy Dmitruk i Eugeniusz Śluchocki włączają się w organizowanie związku. „4 maja z pismem informującym o utworzeniu TKZ «S» idziemy do dyr. Wojcieszka. Jakoś jak spojrzal i mówi: Nie wiem, co mam robić... i schował pismo do szuflady”. Na tablicy ogłoszeń wywieszono zawiadomienie informujące, że TKZ przyjmuje chętnych do „Solidarności”, ale szybko zostało zerwane przez „nieznanych sprawców”. Z kolejnymi ogłoszeniami to samo.

Rozpoczęła się kampania wyborcza do parlamentu. „Dostałem trochę naszych plakatów — mówi E. Śluchocki — jeden powiesiłem na przeciw plakatu pani Pa-

tejuk, kandydatki z PZPR, co wywołało wręcz nienawistną reakcję dyrektora i niektórych pracowników. Bo jak ja śmiałem powiesić plakat «S» na przeciw naszego zwierzchnika, — oburzyła się pani Marińska i wezwała mnie na rozmowę. Dowiedziałem się od niej, że dyr. Wojcieszek osobiście kazał pozrywać solidarnościowe plakaty, bo... nie życzy sobie, by wisiały. Złożyłem protest u dyrektora. Bez mojej zgody nie wolno — oświadczył. Ale to przecięć kampania wyborcza — usiłuję mu tłumaczyć — skoro inne plakaty mogą wisieć... Na to dyrektor poinformował mnie, że przyszedł do niego dwaj panowie z Komitetu Miejskiego PZPR i grzecznie poprosili, więc zgodziłem się na wywieszenie plakatu z pezetpeerowskim kandydatem”. No i E. Śluchocki tak wieszal te plakaty, a dyrektor kazał zrywać...

Jeszcze po pierwszym zebraniu TKZ „Solidarności” dyrektor wyraził oburzenie z powodu niezaproszenia go, na co otrzymał odpowiedź od Śluchockiego, że może wypełnić przeciw deklarację członkowską, a póki co „sprawy organizacyjne mamy prawo załatwiać we własnym gronie, kiedy będziemy omawiać sprawy zakładu, zaprosimy pana. I tak będziemy musieli się spotykać”.

Na zebraniu wybrano skład Komisji Zakładowej, jej członkiem został m.in. Jerzy Dmitruk. Dyrektor szalał... Okazał się nawet gorliwym obrońcą moralności związkowej — wyciągnął sprawę wyroku sądowego, na jaki został skazany Dmitruk za niedopilnowanie obowiązków służbowych, tyle że... 10 lat temu; o zatarciu sprawy Wojcieszek zapomniał...

4 lipca członkowie „Solidarności” zwołali zebranie w sprawie J. Dmitruka i E. Śluchockiego, zaproszono dyr. Wojcieszka, dyrektora technicznego — Ryszarda Sawickiego i B. Marińską. Dopóki na sali nie było Śluchockiego, zebranie przebiegało normalnie. Ale kiedy się pojawił, zawrzało — dyr. Wojcieszek nie życzy sobie, by ten uczestniczył w zebraniu, ponieważ „nie jest pracownikiem przedsiębiorstwa”. Zapytany o zdanie przewodniczący KZ, Sławomir Wołczyk, stwierdził, że Śluchocki powinien w zebraniu uczestniczyć, bo przeciw o jego m.in. sprawę tu chodzi. No to dyrektor postraszył, że zatelefonuje po milicję. Jak straszyl, tak zrobił, ale MO nie wyraziła ochoty na interwencję. No więc Wojcieszek opuszcza salę a z nim wierni jego poddani: dyr. techniczny i kadrowa.

Zapewne rychło nastąpi ciąg dalszy popisów dyr. Wojcieszka, który zamienił przedsiębiorstwo w poligon, na którym z olbrzymią energią wykazuje się niekompetencją w kierowaniu zespołem pracowników i ujawnia całą gałę swoich śmiesznych kompleksów. Kto pomoże dyrektorowi? Sąd? A może ci dwaj grzeczni panowie z Komitetu Miejskiego PZPR?

Krzysztof Sawicki

Kultura pod strzechami

Miejsce akcji: gmina Sidra, 2 lipca 1987 roku. W punkcie skupu łoczno, upał. Ludzie denerwują się, czekają już kilka godzin. Jeszcze bardziej niecierpliwi się bydlęta, gorąco, nie ma wody. Czekają... Skup ciągle zamknięty.

Mieszkaniec wsi Śniczany, Marian Nowik (organizował „Solidarność” w 1980 r.), poszedł sprawdzić, co się dzieje. Cóż zobaczył? W kantorku, jego sąsiad Antoni W. wraz z klasyfikatorem pili wódkę. Nowik nieśmiało zaproponował, aby może zajęli się przyjmowaniem bydła. Kompletnie pijani biesiadnicy rzucili się na niego, a interweniujących ludzi przegrali okrzykami „won, won!”. Pan Marian odnalazł kierownika służby rolnej i razem zawiadomili milicję.

Przyjechali. Zamknęli się razem z biesiadnikami. W kantorku. Po chwili wyszli, a jeden z milicjantów pogroził Nowikowi: „Dość już twego rządzenia”. Na tym sprawa właściwie się zakończyła, bo choć Marian Nowik pisał, gdzie się dało (nawet do KW PZPR), to jednak milicjanci nie potwierdzili faktu upojenia alkoholowego, a tylko wymierzili grzywnę za ubliżenia.

W Śniczanych znajduje się świetlica. Mieści się w prywatnym domu, którego

gospodarzem jest Antoni W. Kierowniczką świetlicy jest, zatrudniona na pół etatu, jego żona. Według słów M. Nowika pomieszczenie to stoi puste (we wsi nie ma młodzieży), a właściwie nie puste, ponieważ A. W. zamienił je na swój pokój. I może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że wieś ciągle płaci podatki na utrzymanie świetlicy, a kierowniczką pobiera pensję.

Marian Nowik stara się już od dłuższego czasu świetlicę zlikwidować. Bezskutecznie. Interweniował w Wojewódzkim Urzędzie Kultury i w Wojewódzkim Domu Kultury. Z UW podobno telefonowano do członka gminy, ale ten powiedział, że cała sprawa jest wyłącznie wynikiem konfliktu między gospodarzami. Z WDK nawet ktoś przyjechał do Śniczany. Wszystko jednak zostało po staremu.

Jak twierdzi Marian Nowik, Antoni W. w przypiywie upojenia alkoholowego żali się mieszkańcom wsi, że załatwienie tej sprawy kosztowało go pół świnia-ka i nie określił ilości wódki.

Świetlica istnieje, ludzie płacą podatki, A. W. też się wykoshował. Mimo to kultura zawędrowała pod strzechy.

(kk)

Żeby nam się chciało chcieć

CIĄG DALSZY ZE STR. 2

letni ludzie zgrupowani w różnego rodzaju formacjach politycznych (NRSM, URSM, KPN, PPS-RD, Grupy Oporu). Im się jeszcze chce. Mogę nie zgadzać się z ich poglądami czy też formami działania, ale muszę żywić uznanie dla ich zaangażowania. Być może niedługo was zastąpią. Zastąpią was nie tylko w decydowaniu o sprawach państwa, ale również w negocjacjach płacowych, w rozmowach z dyrektorem, w organizowaniu prawdziwego samorządu, czyli w tym wszystkim, co w większości zakładów jest jeszcze do załatwienia. I nie chodzi tu wcale o wielką politykę, ale o szatnie, natryski, podział zysków czy wreszcie o godność pracy.

Sądze, że sztuka nie polega na tym, żeby założyć „Solidarność”, ale na tym, aby tworząca się „Solidarność” załatwiała sprawy, z którym ludzkie czekał przez całe lata.

A ludzie czekają nadal... i może to jest powód, dla którego nie wstępują do Związku.

Konrad Kruszewski

Z HISTORII JEDNEGO ZAKŁADU (1)

W lecie 1976 roku odbył się na Placu Zgromadzeń wiec. Robotnicy dowiedzeni na miejsce autokarami udzieleni zbiorowego poparcia linii PZPR i potępiłi „smoluchów” i „warchołów” z Fabryki Przyrządów i Uchwytów, którzy nie rozumiejąc dalekosiężnych planów rządu jako jedyni w mieście ośmielili się przerwać pracę popierając strajkujących robotników z Radomia, Płocka, Ursusa, upominając się o prawo do normalnego życia i protestując przeciwko podwyżkom. Robotnicy FPIU uczestniczący wówczas w strajku do dziś mają cichy żal o to, że nikt nie odważył się stanąć w ich obronie. Okazało się wtedy, że walka o godziwe życie może być przestępstwem. Strajk trwał co prawda tylko jeden dzień, ale niespotykane rozwścieczenie miejscowe władze. Po wydarzeniach czterechwycowych ośmiem osób zwolniono dyscyplinarnie z pracy, a znaczną ilość pracowników narzędziowni, która była ogniskiem zapalnych przeniesiono na inne wydziały. Wówczas, jak sami mówią, zaczęła im świtać myśl, że strajki placowe to nie wszystko, że należy bronić także własnej godności.

Strajk w 1976 roku nie był pierwszym protestem robotników FPIU. Wszystkie polityczne przełomy mające miejsce w powojennych dziejach kraju zostawiły swój znak w historii tego zakładu, będącego „dzieckiem PRL” (FPIU powstało tuż po wojnie na gruzach niewielkiej, przedwojennej fabryczki). Historia „Uchwytów” jest historią kształtowania się świadomości pracujących tam ludzi. Jest to w znacznej większości ludność napływowa, robotnicy w pierwszym pokoleniu, którym obcy był etos walki o własne prawa.

Mówią, że potrzeba jest matką wynalazku. Po raz pierwszy robotnicy FPIU zaprezentowali w 1956 roku. Zakładowego sekretarza PZPR wywieziono za bramę na taczakach. Nazajutrz powrócił, ale odtąd robotnicy wierzyli już tylko sobie i Władysławowi Gomułce, który obiecywał daleko idące reformy i koniec epoki „biedów i wypaczeń”. Niestety, tylko obiecywał, jeśli nawet istnieją ludzie, którzy po dziś dzień czczą jego pamięć, nie należą do nich robotnicy FPIU. Na prowincji wszystko pozostało po staremu.

Jerzy Zacharczuk, członek Rady Pracowniczej, gdy zdaniem dyrektora zbyt głośno upomniał się o prawa pracowników, usłyszał: „Jak się panu nie podoba, to drzwi otwarte!”. Następnego dnia dostał wymówienie. Wrócił do fabryki dopiero po kilku latach.

Dalej wszystko potoczyło się zgodnie ze scenariuszem obowiązującym w całym kraju. W 1968 roku, jak wszędzie, odbył się wiec zorganizowany przez POP, na którym sekretarz potępił Pawła Jasienicę i zaproponował studentom i inteligencji pracę w

fabrykach, jeżeli nie odpowiadają im lukratywne uniwersyteckie posadki. Robiło się coraz bardziej szaro i duszno w Polsce, a w Białymstoku jeszcze bardziej. Aż przyszedł grudniowy poranek 1970 roku. Jeśli czytać wówczas gazety można by odnieść wrażenie, iż w kraju nic się nie stało. Niemniej jednak w lokalnej prasie ukazała się odezwa do mieszkańców Białostocznego nawiązująca do zachowania spokoju. Ci, co słuchali Radia Wolna Europa wiedzieli już o tragicznych zajściach na Wybrzeżu. Odezwa ukazała się w czwartek. Robotnicy jadący w piątek rano do pracy bez trudu skojarzyli ją z wieściami RWE. Utwierdzili ich w tym mniemaniu niezwykle liczni tego dnia milicjanci, grupujący się zwłaszcza u wejść do zakładów pracy.

Dozór i kierownictwo przychodzące do pracy zwykle o 7.00, już o 6.00 znajdowało się na posterunku. W fabryce na tablicy ogłoszeń wywieszono sześć wariantów podwyżek płac, które miałyby zrekomensować znaczny wzrost cen. Propozycja władz wywołała wzbурzenie. Robotnicy udali się na miejsca pracy. Niektórzy z nich włączyli maszyny, jednak większość zaczęła skupiać się w niewielkie, rozdyskutowane grupki. Mówiono głównie o wydarzeniach w Trójmieście i rządowym projekcie bodźców ekonomicznych. Furorę zrobiła encyklopedyczna definicja: bodziec — jest to kij zakończony ostrzem służący do poganiania bydła. Uczestnik tych zdarzeń mówi: „Zaczęło się na «korpusach», w tym samym miejscu, gdzie potem zaczął się strajk w 1976 roku. Staneliśmy w kilku i rozmawiamy. I wtedy wychodzi ze szlifierni kierownik Szymborski i pyta, dlaczego nie pracujemy. Ledwo do nas podszedł, zrobiło się zbiegowisko. Więc on wszedł na stół montażowy i ostro zażądał, by włączyć maszyny. Do tej pory nie myśleliśmy o strajku, ale jak on zaczął krzyczeć, to ludzi krew zalała i odwrócili się plecami. Można powiedzieć, że to on niechęć wywołał strajk”. Robotnicy przygotowali siedmiopunktowy program i zażądali przyjazdu sekretarza z KW. Przyjechał sekretarz ekonomiczny, S. Rubczewski. „Rubczewski wszedł na podwyższenie i mówił, że on też niewiele zarabia. Ludzie w śmiech. Pamiętam, obok stała kobieta i jąda suchą bułkę, patrzyła na Rubczewskiego i jąda. Wtedy Jurek Zacharczuk mówi: «Jednym fiaty i kwiaty, a nam na kanapki nie starcza» (wg innej wersji miał zakończyć: «a nam listek figowy»). Jego i Jurka Zapólnika uznano za prowodyrów, ponieważ najczęściej zabierali głos. Rubczewski zaproponował, żeby robotnicy wystali własną delegację na rozmowy z dyrektorem. Nikt nie chciał się zgłosić. Baliśmy się. W nocy z piątku na sobotę Zacharczuka i Zapólnika odwieźdli funkcjonariusze Służby Bezpieczeń-

stwa. Grozili, że jak nie podejmą pracy, to będzie z nimi źle. W sobotę o ósmej zjawia się na «korpusach» dyrektor Różycki i mówi, że o godzinie dziewiętej będzie włączona syrena i to ma być znak do rozpoczęcia pracy, a kto się wyłamie, poażuje. Wyłamaliśmy się wszyscy. Wtedy kierownik Borecki podszedł do Zacharczuka i Zapólnika. Tak do nich powiedział: «Poświadczyliśmy za was, nie pracujecie — zabierają was». Zapadła cisza. Popatrzyli na siebie i wolno podeszli do maszyn. Zaczęli pracować. Majster włączył pozostałe maszyny, ale robotnicy je wyłączyli. Obok Zacharczuka i Zapólnika stoją kierownik z dyrektorem. Oni mieli łyzy w oczach, ale pracowali. Zebraliśmy się wokół nich i patrzyliśmy jak na lamistraków. Niektórzy zaczęli rzucać szczekami, a taka szczeka to może i kilogram ważyć. Wtedy dyrektor Różycki zrozumiał, że nie wygra i kazał im wyłączyć maszyny. Zaczęliśmy myśleć, co robić dalej, ktoś mówi, że narzędziownia pracuje, a sami nie mamy rady. Podchodzimy do drzwi — zamknięte. Idziemy korytarzem, widzimy — pracują. Kierownik tylko nas dojrzał — wyszedł. Robotnicy wyłączyli maszyny i odeszli na bok. Potem większość poszła na odlewnię, a jak wróciłem do domu, wiedziałem, że w sobotę nikt już nie będzie pracował”.

To był ostatni dzień strajku. W poniedziałek rano sprowadzono pracowników z biurowca, każdy robotnik miał przy sobie pilnującego — co niektórzy do dziś wspominają. Było to już po przemówieniu Gierka i ostrożność okazała się zbyt duża. Nadliczbowi strażnicy narazili się na śmiech i zmarnowali cały dzień. O przedstawionych sekretarzowi Rubczewskiemu postulatach robotnicy więcej nie usłyszeli.

Po kilku dniach FPIU zaszczylił niespodziewaną wizytą sam Edward Gierek. „Wszedł na halę, podchodzi do Zacharczuka i pyta co słychać. A Zacharczuk na to: «Zależy, gdzie ucho przyłożysz» — wspomina jeden z robotników — «A u was w zakładzie?», pyta Gierek dalej. Zacharczuk mówi, że sytuacja jest niedobra. «My uważamy, że sytuacja się poprawi» — zakończył nowy i sekretarz, podał rękę i poszedł dalej”.

Choć protest robotniczy w grudniu 1970 roku uznano za słuszny, jego główni uczestnicy byli pomijani przy rozdziale premii i awansach. Nic dziwnego, że sześć lat później ich rozgoryczenie znów dało znać o sobie. Strajk trwał wprawdzie jeden dzień, ale to był bardzo ważny dzień. Po wiecu potępiającym już dla całej załogi stało się jasne, że „warchoły” i „smoluchy” nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa...

(cdn.)

Jerzy Nachiło

Pan dyrektor i spółka

Zbliżają się ponoc ciężkie czasy dla nomenklatury. Dobrze poinformowani twierdzą, że ma być w ogóle zlikwidowana. Czy zatem istnieje możliwość, że obywateli piastujący dzięki partyjnemu błogosławieństwu intratne posady odejdą bez walki zostawiając ciepłe stolki? Jeśli nawet, to myślę, że będzie to odwrot na z góry upatrzone pozycje. Głośnym echem rozniósł się po kraju sprawa „Iglopolu” przekształconego przez swą dyrekcję w spółkę. Spółki — właśnie w nich zagrożona nomenklatura widzi dogodną szansę, by urządzić się dostatanio i przetrwać, nie tracąc swej dotychczasowej pozycji. Przykładów nie trzeba daleko szukać.

Zakłady Płyt Włókowych w Grajewie — spora firma, gdzie 15% zatrudnionych to administracja. Co prawda liczbę dyrektorów zmniejszono tam ostatnio do trzech. Żyje się im też gorzej niż parę lat temu. Nie dostają talonów na samochody, ale... Naczelną ma do swej dyspozycji służbowego poloneza, także dyrektor Kurek wystąpił o przydział auta na swoje potrzeby. O tym, że państwowa firma pomagała wielu ludziom w prywatnych budowlach, mówi się w Grajewie dosyć głośno. Zapamiętałem choćby fakt, że blachy z zabobnika na wióry mokre, zostały przeznaczony na pokrycie dachu domu pewnego obywatela.

Ale trzeba iść z duchem czasu i w Grajewie powstała spółka o dźwięcznej nazwie „Grakos”. Prezesa spółki został pan Kuligowski — kierownik zaopatrzenia w ZPW Grajewo. Oprócz niego spółkę tworzą: pan Słotwiński — zastępca dyrektora ZPW, pan Organek — prezes Wytwórczo-Usługowej Spółdzielni Pracy w Grajewie, pan Sulowski i pan Baranowski — prezes Spółdzielni Pracy „Mazur” w Eku. Trzej panowie, których wymieniłem na końcu, utworzyli w Eku spółkę o nazwie „Dre-wex”, zajmująca się tym samym co „Grakos”. Krótko mówiąc, zebrali się, by działać jako fachowcy z branży meblarsko-drzewnej, którzy wiedzą, co i jak załatwić, a przy okazji są na stanowiskach w państwowych firmach, które mogą pracę spółkom bardzo ułatwić. Właśnie to załatwianie związane z kierowniczymi stanowiskami spółkowych biznesmenów wzbudziło niepokój moich rozmówców, mieszkańców Grajewo. Jak powiedziano mi, wszystkie niepełnowartościowe płyty z ZPW Grajewo, są sprzedawane wyłącznie tym spółkom i to po cenach hurtowych, niższych niż detaliczne o 30%. Dlaczego tak się dzieje? Być może wyjaśnia to unia personalna kierownictwa „Grakos” i ZPW. Niektórzy mówią nawet o wykorzystywaniu transportu ZPW do celów bądź co bądź prywatnych przedsiębiorstw, a także o wynajmowaniu

przez spółdzielnię pana Organka, za symboliczną wręcz opłatą, maszyn dla tegoż Organka spółki. Co więcej, ostatnio „Grakos” zamiast mebli produkuje boazerie, która równie dobrze mogłaby zostać wykonana w ZPW Grajewo. Dżwne to, gdyż w dobre samofinansowania się przedsiębiorstw, dyrekcja powinna dbać przede wszystkim o swój zakład, tym bardziej że spółka nie będąc w stanie przerobić całego kupionego w ZPW materiału sprzedaje go osobom trzecim, oczywiście po cenach detalicznych. Cóż, być może tak się bardziej opłaca. Tylko komu? Na to pytanie wolę nie odpowiadać. Nie wszystkie informacje dotyczące „dyrektorskich spółek” w Grajewie i Eku nadają się do druku bez dokładniejszego ich udokumentowania. Jeśli okaza się prawdziwe, zamieszcimy je w krótkim z następnym numerem „Biuletynu”.

PS. Pisząc o „dyrektorskich spółkach” i porządkach panujących w ZPW Grajewo oparłem się głównie na liście Zygmunta Wróblewskiego, pracownika Wytwórczo-Usługowej Spółdzielni Pracy w Grajewie i rozmowie z jednym z pracowników ZPW Grajewo, który prosił o niepodawanie swego nazwiska do wiadomości publicznej.

T.M.

Zbigniew Bujak: „Wbić zęby w stół”

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

zam, że należy uznać ich obawy i argumenty. Gdyby się je uznało, byłibyśmy w innym miejscu.

— Może przejdźmy od spraw typowo białostockich do rzeczy bardziej ogólnych. Jak w tej chwili wygląda „Solidarność” jako związek zawodowy i jako ruch polityczny, społeczny? Komitety Obywatelskie mają się rozpaść. W jaki sposób „Solidarność” ma być zapieczeniem dla posłów i senatorów, których wprowadziła do parlamentu?

— Z rozpadaniem się komitetów jest różnie. W jednych miejscach się rozpadają, w innych miejscach są silne, silniejsze nawet od regionalnych władz Związku, i wokół nich skupia się działalność. Gdzie indziej są słabe i po spełnieniu zadań związanych z wyborami siadły ze swoją działalnością i w tych regionach zaczyna znowu dominować związek zawodowy. Tu będzie takie wahadło, że albo w jakimś regionie okaże się, że w Związku skupili się najlepsi, najaktywniejsi ludzie i oni dominują. Wtedy Komitet Obywatelski albo jest im podporządkowany, albo go w ogóle nie ma. Gdzie indziej Komitet Obywatelski będzie skupiał świetne grono osób, i wtedy Związek będzie tam słabszy, i jak będzie umiał korzystać z siły komitetu, to się wzmocni i wspólnie się ułoży. Jeśli jest słaby i będzie chciał prowadzić walkę, to osłabi się totalnie. Ale tu mówimy o pewnej grze personalnej. Trzeba sobie powiedzieć jasno: Związek ma do wypełnienia w tej chwili bardzo trudne zadanie związane z reformą gospodarczą i jak się skupi na tym i tylko na tym, to być może sobie jako tako z tym problemem poradzi. Oprócz tego trzeba w tym kraju przeprowadzać reformy od samej góry do samego dołu. Trzeba choćby już teraz, jak najszybciej, brać się za wybory do rad narodowych. I albo jesteśmy do tego gotowi, potrafimy to przeprowadzić, potrafimy przejąć kierowanie miastami i gminami i uporządkować to wszystko, albo nie potrafimy. Jeśli nie, okazemy się po prostu słabi, i będzie to bardzo źle dla całego ruchu i dla całego kraju.

— Społeczeństwo związało bardzo dużo nadziei na poprawę sytuacji w kraju z wygraniem przez nas wyborami do parlamentu. Ale parlament będzie pracował powoli. Tymczasem sytuacja ekonomiczna się pogarsza, w zakładach pracy są różne naciśki... W jaki sposób to będzie ze sobą pogodzone?

— Nie będzie. Nie da się tego pogodzić. Ludzie chcą więcej zarabiać, mieć więcej pieniędzy. Na rynku towarów nie ma i nie będzie, bo ani nikt nam ich nie przysła, ani my ich nie wyprodukujemy, bo zakłady działają coraz gorzej. Są zakłady, w których załogi zaczynają się nad tym zastanawiać i myślą o przejęciu kierownictwa zakładu. Mają plany usunięcia części lub całej dyrekcji, bo cała jest niedobra, usunięcia lub wymiany aparatu administracyjnego. Robią plany, przygotowują się do tego. I w zasadzie oni mają szansę jako tako na tym wyjść. W innych zakładach, gdzie załoga skupi się tylko na problemie rewidykacji, to oczywiście będzie żądać

pensji, będzie je nawet dostawać. Nic nie będzie mogła za to kupić, więc się będzie jeszcze bardziej denerwować. Zakład w ogóle przestanie produkować, aż wreszcie zbankrutuje.

— Czyli „Solidarność” powinna działać jako związek współzarządzający, a nie jako związek typowo rozszczeniowy.

— Nie może być związkiem typowo rozszczeniowym. Związek musi się zastanowić, jaka jest najbliższa przyszłość tego kraju. Dużo jest w Związku działaczy, których znam, którzy mówią — „Związek zawodowy, obrona pracowników. Będziemy żądać podwyżek, ochrony itd.” Ja wiem, że jest to mówienie demagogiczne. Jak się za tym kryje myślenie, nie wiem. Taka postawa prowadzi do tego, że mamy dodruk pieniędzy, jest ich coraz więcej, przemysł nie pracuje i za chwilę wszyscy będziemy pracować za kilogram kartofli dziennie. Będziemy się buntować, organizować marsze po ulicach, będziemy rzucić kamieniami, strzelać i wiesz — ale będziemy żyć coraz gorzej. Jest inna możliwość — próba przeprowadzenia reformy ze wszystkimi jej konsekwencjami. Ale oznacza to w chwili obecnej wbić zęby w stół, wytrzymanie okresu przejściowego, który oznacza wszystko — bankructwo najgorzej prosperujących zakładów, fortuny dla tych, którym udało się wskoczyć na rynek z jakąś produkcją, redukcje zatrudnień. Z tym, co rynek ze sobą przynosi, a więc bankructwami, redukcją zatrudnień, trzeba się pogodzić. Natomiast Związek musi się zacząć zastanawiać, jak pomóc ludziom, których to obejmie. A pomóc może i myśle, że będzie miał takie możliwości, że jest w stanie skupić odpowiednio duże fundusze, że jest w stanie pomóc tym ludziom w zmianie zawodu, nawet w zmianie miejsca zamieszkania, żeby przetrwali ten okres przejściowy.

— Czy „Solidarność” i całe społeczeństwo wytrzyma tę reformę?

— Nie wiem. Ja przewiduję, że przejdziemy przez okres straszliwy. Dlatego, że trudno uwierzyć, że tak musi być, że będzie coraz gorzej. Nie wiemy jeszcze, jak będzie działała druga strona — koalicja rządząca. Czy oni gotowi są w tej chwili reformować sposób rządzenia państwem czy nie? Mówią, że tak, ale nie wiemy jeszcze, na ile. Nie wiemy, czy są gotowi przekazać władzę jakiemuś kompetentnemu rządowi. Między opozycją a władzą jest pewien kliniec. Polega on na tym, że w tej chwili temu krajowi potrzebny jest silny rząd z poparciem społecznym. Teoretycznie „Solidarność” jest dobrze przygotowana, aby ten rząd objąć. „Solidarność” jako ruch społeczny, nie jako związek zawodowy. Nie może tego zrobić dlatego, że największy i najskuteczniejszy opór reformom stawia aparat lokalny — miast, gmin, zakładów pracy. W przeważającej części Związek jest tam słaby, komitety obywatelskie są słabe i co więcej, na tym poziomie nie potrafią prowadzić walki z aparatem. W związku z tym, nawet gdybyśmy tu mieli fantastyczny, skuteczny program reform i do tego pomoc zachodnią, wszystko to mogłoby zostać zablokowane, zmarnowane przez aparat lokalny. Więc my najpierw musimy

przeprowadzić wybory lokalne. Tylko, że na to trzeba czasu i w międzyczasie ktoś musi to dalej prowadzić. Czy koalicja rządząca jest w stanie to sensownie prowadzić? Nie, oni są w całej masie jakby z innego czasu, z innego stylu myślenia i rządzenia i w związku z tym są w stanie robić różne maskujące działania, natomiast reformy gospodarcze ani politycznej nie są w stanie przeprowadzić. I jak mówiłem, będziemy mieli przez rok czy dwa okres przejściowy, później mamy jeszcze okres może dwóch, może pięciu lat, kiedy musimy wbić zęby w stół. I obojętnie, czy zrobimy to z pełną świadomością tego, co robimy i będziemy zasuwać jak Japończycy po wojnie — za miskę ryżu. Albo zrobimy to w pełni świadomie, z naszymi ludźmi, z naszym rządem, albo zrobimy to dlatego, że na skutek ruchów społecznych przyjdzie tu twarda dyktatura, nawet nie czerwona. My jej oczywiście nie zrobimy, ale przyjdą inni, wprowadzą twardy rygor i będziemy pod pałką robić to samo. Tak jak w stanie wojennym żeśmy zamknęli gęby na kłódkę i żeśmy chicho siedzieli. Bo oczywiście, skala protestu i oporu wobec stanu wojennego była znikoma wobec akcji drugiej strony. Więc tu już widać, że można społeczeństwo spacyfikować. Wtedy będziemy mieli potwornie długi czas jakiejś przedwójnej dyktatury. Jak Franco w Hiszpanii — raz spacyfikował i przez czterdzieści lat ani drgnęło cokolwiek.

— Czyli możemy mieć w Polsce drugą Finlandię albo drugą Rumunię? Co jest bardziej prawdopodobne?

— Ja pracuję na to, żeby był to model fiński. Jeżeli mam w tej chwili takie drastyczne poglądy jako związkowiec, gdy mówię, jak się należy zachowywać, to rzeczywiście można demagogicznie powiedzieć, że mało myślę o obronie świata pracy. Ale to jest twierdzenie demagogiczne, bo ja myślę o tym, co będzie za pięć lat, a nie czy będziemy mieli na kilo mięsa za pół roku. To mnie nie interesuje, bo jak się tym zajmujemy, to za trzy miesiące nie będziemy mieli nawet na dziesięć deko. Więc mnie nie interesują rozważania na takim poziomie. W regionie będą wybory, mogą zostać nawet wywalony, czy w inny sposób mogą mnie stąd wyrzucić na zbity pysk. Tylko, że ja po prostu nie chce iść w inną stronę, bo wiem, czym się to wszystko inne kończy. Dlatego uparcie będę szedł w tę stronę i grał na tę jedną kartę, na tę jedyną szansę, która przed nami stoi. A szansa jest ogromna, tylko że musimy wziąć nerwy na postronki i wytrzymać okres przejściowy. Dzięki zwycięstwu „Solidarności” w wyborach i dzięki temu, co się teraz dzieje, zdobyliśmy wielką sympatię na Zachodzie. Mamy szansę na pomoc. Oni patrzą teraz, jak my się zachowujemy. Czy chcemy następnego gierkowskie 20 miliardów, żeby je spokojnie przejeść, czy zamierzamy zacząć pracować, zrobić z tej gospodarki wreszcie coś, co zacznie funkcjonować. Po tym nas będą oceniać.

— Dziękuję za rozmowę.

Warszawa 30 czerwca 1989

(Rozmawiał Tomasz Malewicz)

Czy partie polityczne są jeszcze

Paradoksalne wydać się może to tytułowe pytanie, tym bardziej że stawia się je w kraju, w którym przez ostatnie 40 lat autentyczne, tj. tworzone samorzutnie partie polityczne, nie istniały. Ludzkie aspiracje polityczne nie tylko były blokowane, lecz samo ich istnienie było niebezpieczne. Mimo to „natury obywatelskiej” nie udało się przeprojektować, a rok 1988 po raz pierwszy — ale nie ostatni — unaościwił władzom, że dotychczasowa polityka usypiania i represjonowania potrzeb politycznych okazała się nie w pełni skuteczna. Stworzono więc system działań zastępczych, pozorujący uczestnictwo i współdecydowanie w sprawach dla kraju ważnych i mniej ważnych. Postanowiono powrócić jednak do bezpieczniejszej propagandowo fasady ideologicznej: wola ludu miała odtąd być znowu miarą wszechrzeczny. W ten sposób ustabilizowały się dwa modele władzy w PRL, jak się to często

określa, „woluntarystyczny” i „demokracji ludowej”, których wzajemne relacje i proporcje określały bieg wydarzeń.

Ten system pozorowanego uczestnictwa miał głębokie konsekwencje: m.in. upolityczniał działania i rozpolityczniał świadomość (nie zawsze zresztą w właściwym kierunku, co przynajmniej w zalemem). Dlatego w momentach wybuchowych tak łatwo było o „skrzyknięcie się” Polaków, prawie o pospolite ruszenie.

Dzisiaj, kiedy nie jest nieprawdopodobne, że ta dialektyczna huśtawka zostanie zdemontowana, interesująca może wydać się próba przewidzenia, w jakich formach zorganizuje się aktywność polityczno-obywatelska.

W nieznacznym uproszczeniu w demokracji przedstawicielskiej — do jakiej zmierzamy — można wyróżnić takie oto zasadnicze filary: parlament, wybory (całkowicie wolne), opinię publiczną wraz z

niezależną prasą i partie polityczne. Zastanawiamy się nad ostatnim czynnikiem i postawimy jeszcze raz pytanie tytułowe: Czy w Polsce są możliwe partie polityczne?

Najprostszą odpowiedzią natychmiast się nasuwa i kwestionuje zasadność pytania: skoro jest fakt, to nie ma sensu pytać o jego możliwość, bo przecież istnieją w Polsce partie, choćby dwa PPS-y (czy to prawda, że są już trzy?), KPN, świeże Stronnictwo Pracy itd. Mnie chodzi tu jednak nie o funkcjonowanie samych nazw, lecz o funkcjonowanie konkretnych ciał politycznych. I nie jest to tylko problem formalny, problem niedopasowania rzeczywistych zjawisk politycznych do ich teoretycznych definicji. Problem jest merytoryczny: W jaki sposób mogą działać wspólne grupy ludzi bez jednoczącego ich czytelnego programu zmian czy wizji przyszłości (wyłanianie czy konstytuowanie się

Wasz prezydent, nasz premier?

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Był wśród nich Lech Koziół, senator z Łomży, który na najbliższym posiedzeniu Senatu, znużony przelagającymi się dyskusjami proceduralnymi, wystąpił z krytyką stanowiska zajętego przez kierownictwo OKP. Jego zdaniem tematyka neutralności i wyczekiwania przedłuża tylko „kryzys prezydencki”. W sytuacji, gdy społeczeństwo oczekuje od „Solidarności” jakichś stanowczych posunięć, senatorowie dyskutują problem komisji merytorycznych. Zdaniem L. Koziół, by uniknąć kompromitacji wobec własnego elektoratu, należy niezwłocznie podjąć propozycje Michnika, tym bardziej, że nadeszła akceptująca odpowiedź ze strony Kremla.

Gość, jaką na sali wywołało wystąpienie Koziół (zostało ono zdecydowanie wsparte przez Edmunda Osmańczyka), ostudził jednak wicemarszałek Senatu Andrzej Wielowieyski. Stanowczo sprzeciwił się dalszemu lansowaniu propozycji Michnika. Jego zdaniem ZSRR wcale nie dał do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko rządowi stworzonemu przez „Solidarności”. Co najlepsze bowiem Zagładni mogli powiedzieć w Rzymie? Nic. Powiedział, co powiedział, gdyż był pewien, że pytanie włoskiego dziennikarza dotyczy sytuacji niemożliwej, przynajmniej w najbliższym czasie.

Jeśli wypowiedź Zagładni traktować jako sygnał, to był to sygnał skierowany raczej w stronę Zachodu. Miał potwierdzić opinię o otwartości obecnych władz ZSRR, o ich demokratycznej wstrzemięźliwości wobec zmian w Polsce i na Węgrzech. Wadim Zagładni mógł powiedzieć, że ZSRR nie ma nic przeciwko rządowi „Solidarności”, ponieważ dobrze wiedział — zdaniem Wielowieyskiego — że taki rząd jest nie do przyjęcia tak dla PZPR, jak i „Solidarności”. Dla partii stanowiłby śmiertelne zagrożenie — to oczywiste — dlatego PZPR nigdy na taki rząd się nie zgodzi. Natomiast sama „Solidarności” nie stworzy takiego rządu, gdyż stanęłaby wobec ponurej alter-

natywy: albo zmagać się z wrogiem jej aparatem państwa, co i tak zakończyłoby się jej klęską, albo doprowadzić do radykalnego zniszczenia tego aparatu, co jest sprzeczne nie tylko z porozumieniami przy „okrągłym stole”, ale również z wszelkimi kategoriami zdrowego rozsądku.

Ta trzeźwa i mądra wypowiedź Wielowieyskiego domaga się jednak kilku jeszcze słów komentarza, ponieważ dotyczy problemów fundamentalnych dla polskiej demokracji.

W moim przekonaniu Wielowieyski przypomniał wielu „rozpalonym głowom”, że polityka nie jest sztuką nadawania i odbierania jasnych, łatwych do odczytania sygnałów, systemem porozumiewania się, w którym jeśli jedna strona mówi A, druga musi koniecznie powiedzieć B. Polityka jest nie tyle sztuką mówienia nieprawdy, ile sztuką niemięwienia prawdy, a tego, co — w konkretnej chwili i sytuacji — jest najkorzystniejsze dla mówiącego. W ten sposób należy „czytać” wypowiedź Zagładni: nie powiedział prawdy, również nie można mu zarzucić, że powiedział nieprawdę, lecz jego wypowiedź jest korzystna dla interesów ZSRR na Zachodzie.

Druga ukryta sugestia, której można dopatrzeć się w wystąpieniu Wielowieyskiego dotyczy radzieckiej ingerencji w sprawę polską. Czyżbyśmy rzeczywiście znaleźli się na progu niepodległości? Pytanie to wydaje się bardzo istotne, szczególnie w momencie, gdy w wielu gazetach polskich i obcych znaleźć można spekulacje na temat końca epoki komunistycznej w Europie wschodniej. Jeśli uznamy, że komunizm okazał się systemem niewydolnym ekonomicznie, niezdolnym do zaspokojenia materialnych i politycznych aspiracji obywateli, jeśli uznamy, że zreformowany komunizm przestaje być komunizmem, to czy rzeczywiście oznacza to osiągnięcie suwerenności przez kraje znajdujące się dotąd w strefie radzieckiej dominacji?

Trzeba powiedzieć sobie otwarcie: wbrew sugestiom wielu publicystów zachodnich

koniec komunizmu wcale nie oznacza końca radzieckiej dominacji. Wręcz przeciwnie: w perspektywie lat może ją również wzmocnić. A jeśli nawet nie wzmocni, to trudno sobie wyobrazić sytuację, w której mocarstwo, dysponujące potężnym zapleczem militarnym, dobrowolnie zrzeka się swej dominacji.

W tym kontekście taktykę radziecką wobec Polski i Węgier można określić w sposób następujący: publicznie deklarować otwartość na zmiany w krajach sojuszników oraz zasadę nieingerencji, lecz równocześnie, niejawnie postępować tak, by jawna ingerencja była zbyt duża. Wszak w Budapeszcie i w Warszawie znajdują się ambasady radzieckie, do których — na przyjęcia i spotkania — można zapraszać różne osobistości życia politycznego, niekoniecznie reprezentujące tylko rządzącą partię. W ten sposób Polacy mogą dowiedzieć się czegoś, czego publiczne przypomnienie nie leżałoby w interesie ZSRR.

Granice reform w Polsce niewątpliwie istnieją i wiążą się z radzieckimi interesami w Europie środkowej. Jakkolwiek nie zostają one wyraźnie określone, to być może władzom radzieckim wystarczy obecne tylko to właśnie, że te granice są niejasno wyczuwane przez ludzi z kręgu wiary i opozycji, że wszyscy się nimi interesują i wszyscy się nimi przejmują. Dlatego z punktu widzenia „polskiej drogi do demokracji parlamentarnej” dobrze jest manifestować ów niejasny respekt dla „granicy” (w różnych sensach).

Propozycja „wasz prezydent, nasz premier” tego respektu nie prezentuje. Można więc wyrażać zadowolenie, że nie została podjęta przez kierownicze gremia „Solidarności” (ale przyznajmy, że nie została też zdecydowanie odrzucona). Lecz z drugiej strony można też spytać, czy propozycja Michnika wyrażała to, co wyrażała. Wszak autor artykułu w „Gazecie Wyborczej” do naiwnych nie należy. Być może Michnik rzeczywiście sondował sytuację, tylko że nie wprost — jak sugeruje Koziół — a w sposób pośredni, świadomie wysuwając propozycję, o której dobrze wiedział, że jest nie do przyjęcia. Być może chciał w ten sposób wpłynąć na przebieg „kryzysu prezydenckiego”. Ale o to należałoby spytać samego Michnika zastrzegając się jednocześnie, że nie spodziewamy się otrzymania jasnej i jednoznacznej odpowiedzi. Wszak od pewnego czasu zajmujemy się „robieciem” polityki, a nie rewolucji.

Zbigniew Suszczyński

partii najłatwiej sobie wyobrazić)? A właśnie założeniem moim jest to, że nie jest dzisiaj możliwe konstruowanie alterantów w i w miarę konkretnych programów partyjnych, które dopiero mogłyby skupić ludzi w polityczne partie. Innymi słowy, wielość i odmienność partii politycznych jest skutkiem ich odmienności programowych. Natomiast „pluralizm partyjny”, jakiego jesteśmy świadkami w naszym świecie opozycyjnym, jest jedynie „pluralizmem formalnym”. Poszczególne partie (grupy o aspiracjach partyjnych) wpisują na swoje listy dezyderatów cele najwyższe — niepodległość, suwerenność, wolność, co bardziej przewidujące także rynek. I na tym koniec. Wszelkie różnice pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami stają się nieczytelne, skoro używają one

sunek do tradycji, ale powiedzmy to szczerze — tradycji rozumianej jako zbiór haseł i symboli. Nie przeczę, że tradycja pomaga w rozpoznawaniu rzeczywistości politycznej, ale taka jej rola musi być jednak ograniczona do właściwych rozmiarów: do uzupełniania i doradztwa. Rzadko, co nie znaczy w ogóle, w grę wchodzi kryteria atawistyczne, takie jak stosunek do mniejszości narodowych czy Żydów.

Wiem oczywiście, że jest to dopiero wstępny etap demokracji, że czas przecięcie te grupy partyjne, a innym dopomóż, jeśli tak łaskawy, wysunąć jakieś wizje polityczne. Wszelako widzę tu dwa rodzaje przeszkód, i nie ukrywam, że nie będę nad tym ubolewał.

Po pierwsze, istnieje w dzisiejszym świecie zjawisko nazwane przez uczonych

komunistycznych). Dobrymi przykładami mogą tu być partie „zielonych” bądź upodabniające się wzajemnie koncepcje amerykańskich liberałów i konserwatystów (do pewnego czasu rozbieżne).

Po drugie, co wiąże się ściśle z wyżej opisanym zjawiskiem, doświadczenie partii komunistycznych w Europie Wschodniej związane z projektowaniem i funkcjonowaniem życia gospodarczego. Nikogo dziś chyba nie trzeba przekonywać, że najlepszym regulatorem gospodarki jest wolny rynek (co wcale nie wyklucza korekcyjnych i socjalnych funkcji państwa). Jasne jest również, że jego przeciwieństwem jest funkcjonowanie ekonomii opartej na projektach czy całościowych programach. Dlatego wydaje mi się, że zasada nie tylko „minimum programu”, ale nawet dobrze ugruntowanego „leku przed programem” będzie określała przyszłość życia politycznego w Polsce (jak się już mówi, w IV Rzeczypospolitej).

Linia podziałów politycznych może wobec tego być linią przemieszczającą się w zależności od stosunku poszczególnych ugrupowań wobec konkretnych spraw. Więc raczej pragmatyzm wyprze fundamentalną optykę ideologiczną. A pamiętając o faktycznym rozmyciu tradycyjnych podziałów, takich jak lewica — prawica, staje się wysoce prawdopodobne, że zróżnicowanie partii politycznych również nie będzie tradycyjne, bądź też — mówiąc inaczej — partie polityczne, jakie się wyłonią w przyszłości, nie będą partiami w dotychczasowym klasycznym sensie.

Sławomir Raube

w Polsce możliwe?

tych samych słów-symboli i stoją na tej samej płaszczyźnie emocjonalno-politycznej: „precz z komuną!”. Takie cele mogą składać się na program insurekcji, wszelako niezapewniają na program politycznej partii.

Jeśli coś jest wzajemnie odróżnia, to są to w przeważającej większości czynniki programowo-wotorne (z wyjątkiem stosunku do używania przemocy); kryteria generacyjne, temperament uczestników, wreszcie — co chyba nie najmniej ważne, obawiam się — kryterium personalne („to jest partia tego a tego”). Dlatego czasami zasięg rzeczywistego oddziaływania partii nie wykracza poza towarzyski salon. Na przykład Stronictwo Pracy Ryszarda Bendera i mec. Sity-Nowickiego najpierw się ukonstytuowało, później ogłosiło, że jest kontynuatorem tradycji starego Stronictwa, a dopiero teraz rozpoczęła dyskusję na temat też programowych. W pewnych przypadkach duże znaczenie ma także sto-

„śmiercią ideologii”. Pozostawiając szczegółów na inną okazję, powiedzmy tylko, że świat (cywilizowany) odchodzi coraz dalej od takiego organizowania życia społecznego, które wspiera się na systemie wartości ideologicznych; inaczej — podporządkowanie i naciganie spontanicznego ruchu społecznego do uprzednio wymyślonych (teoretycznych) wzorców stało się we współczesnym myśleniu politycznym synonimem zniewalającej ludzką wolność tyranii. A doświadczenie historyczne pokazuje, że taka dominacja myślenia ideologicznego prowadzi zawsze do totalitaryzmu czy to w wersji stalinowskiej, czy hitlerowskiej. Ta bolesna lekcja historii pozostawiła skazę na działalności politycznej, redukując wizjonerskie skłonności i ograniczając zarazem zakres planowania społecznego. Stąd właśnie wynika coraz pragmatyczniejszy sposób działania partii politycznych na Zachodzie (nie wyłączając tamtejszych partii

Władza a symbole

W gronie kilku znajomych zgadaliśmy się kiedyś, że wszyscy identycznie reagujemy na pewien charakterystyczny moment programu telewizyjnego. Otóż wszyscy, jak jeden mąż, rzucamy się do telewizorów i wyłączamy je, gdy tylko na tle planszy z orłem zaczyna się Mazurek Dąbrowskiego. Nie dlatego, że program się kończy i trzeba oszczędzać prąd. Nie. My nie chcemy słyszeć hymnu. Reakcja dość dziwna, jako że wszyscy uważamy się za patriotów.

Krotka autoanaliza doprowadziła nas do wniosku, że wyłączamy telewizory właśnie z pobudek czysto patriotycznych. Nie chcemy słyszeć hymnu z telewizora, ponieważ to, że hymn jest użyty w charakterze zwieńczenia programu telewizyjnego (ten program) jakby podpisuje, firmuje — ba — namaszcza, jest dla nas równoznaczne z bezczeszczeniem hymnu narodowego.

To oczywiście przykład jeden z wielu. Tak jest na każdym kroku. Uczucia patriotyczne są wystawiane wciąż na ciężkie próby, bo władza, z którą się nie utożsamiamy, przyczyniła sobie tradycyjne polskie symbole i wymachuje nimi na prawo i lewo.

Szczególnie w ostatnich latach. Dawniej było zupełnie inaczej. Pamiętam, we wczesnych latach pięćdziesiątych „polskość” była znacznie mniej ważna niż „proletariackość”. „Polskość” była nawet czymś, jakby wstydliwym, zanikającym, wstecznym, schyłkowym. W myśl zasad, głoszonych z trybun, byliśmy w przededniu zwycięstwa komunizmu, który miał zlikwidować przestarzałe, zacofane pojęcia, jak: ojczyzna, naród, państwo. Przygotowywano nas do roli obywateli ogólnowiatowego raju.

Zupełnie inaczej jest dziś, gdy władza czuje się znacznie mniej pewnie. Nie decyduje się występować jawnie pod sztandarami światowej rewolucji, tylko skrywa pod narodowym sztandarem. Stroi w biel i czerwien, przebiera gorliwie w rogatywki, przemawia najchętniej na tle orła białego, a słowo „Polska” nie schodzi jej z ust. Wiemy oczywiście, że to kolejny zabieg propagandowy. Ale jest to bolesne, bo władza poprzez swoją krzykliwą obecność pod białoczerwonym sztandarem, pozbawia nas symbolu wyodrębniającego. Trudno na pierwszy rzut oka odróżnić, czy ta flaga białoczerwona to nasza białoczerwona, czy ich białoczerwona, to znaczy czerwona z białą doczepioną chwilowo dla niepoznaki.

Niesłychanie mnie rozbawił pewien drobny szczegół w ogłoszonych właśnie pytaniach referendum. Otóż pytają tam nas, czy jesteśmy za polskim modelem demokracji (lub demokracją) — nie pamiętam. Kiedy to przeczytałem, ogarnęło mnie wzruszenie: jak daleko propaganda odeszła od dawnych wzorców, jak bardzo chce się przypodobać, oto odzgnęnie się od socjalizmu i to nawet demonstracyjnie, bo przecież każdy z nas ma od lat zakodowane, wryte w mózgu przemocą, że w PRL obowiązowała zawsze demokracja socjalistyczna, o socjalistyczny model demokracji zawsze walczone, a tu nagle szok: będziemy mieli polski model demokracji. To mnie więcej takie zaskoczenie, jak gdyby przez TPPR-u nagle wstał i powiedział, że będziemy teraz pogłębiać przyjaźń polsko-amerykańską.

Casus z polskim modelem demokracji jest jednak nie tylko zabawny, ale i znamienity. Pozwala podejrzewać, że sytuacja jest poważna, bo tylko w najtrudniejszych chwilach wstydliwie chowa się do szafy socja-

lizm, a wyciąga ojczyznę. Myślę, że przy następnym referendum, powiedzmy w roku 1990, propaganda gotowa jest spytać, czy jesteśmy za monarchią, bylebyśmy tylko tłumnie popędzili do urn i powiedzieli, że tak, tak, zgadzamy się w szóstym etapie reformy na czterystuprocentowe podwyżki.

Znawcy pikantnych szczegółów historycznych twierdzą, że tak zwani partoci polscy w ZSRK na początku lat czterdziestych usunęli z repertuaru Stalina decyzję zinałny Mazurka Dąbrowskiego na jakąś inną melodię, żeby przyszyła Polska, ta i cę Polska, miała swój własny hymn. Stalin kazał zacząć nasz, tradycyjny i z punktu widzenia swoich interesów z pewnością miał rację. Z wielu względów było przecież wygodnie, aby utworzona po wojnie atrapa polski na pierwszy rzut oka przypominała oryginał.

Znacznie lepiej niż z barwami narodowymi i hymnem jest już z godłem państwowym. Orła pozbawiono korony, co jest dla nas niesłychanie wygodne: łatwo się odróżnić. Bez korony — ich orzeł. Z koroną — nasz. I bardzo dobrze. Niech sobie rzecznik prasowy rządu dalej kłamię na tle orła, jaki tylko był w rekwiizytorni telewizyjnej. Myślę, że celowo. Chodziło o to, aby częściej spodziewanej uwagi z orła spływała na rzecznika. Myślę, że można było pojąć dalej: przebrać rzecznika na biało i dorobić skrzydła.

Wydaje mi się, że w kwestii orła bez korony oni dziś żałują, że przegapili sprawę i tylko czekają na jakąś okazję, żeby orłu koronę dodać, a tym samym zabrać ten symbol nam. Tak, jak praktycznie zabrali nam święto 3 Maja, wymyśliwszy sobie, że będzie to święto Stronnictwa Demokratycznego. Stronictwo Demokratyczne tyle ma wspólnego z demokracją, co — powiedzmy — generał z baletem, ale nie szkodzi, świętują. A nie tak dawno, pamiętam, drugiego maja wieczorem, milicjanci chodzili po ulicach z zadartymi głowami i baczili, aby jakaś flaga nie przetrwała przypadkiem z pierwszego maja do trzeciego. W następnej kolejności być może zabrają nam święto 11 listopada, wymyśliwszy sobie, że jest to święto Ligi Kobiet.

Nie radziłbym tylko ogłaszać Cudu nad Wisłą, jako święta ZBoWiD-u. Mogłaby to być pewna niezręczność.

Być może niepotrzebnie przestrzegam, bo władza, owszem, wykazywała sporą łapczywość w przywłaszczaniu sobie symbolicznych dat, znaków i dźwięków, ale jednocześnie wykazywała pewien umiar.

Powiem więcej: zaskakująco nieśmiałość. Ze zdumieniem obserwowałem, jak to władza, po wykonaniu kolejnego kroku zatrzymuje się — jakby — w pół drogi. Niezłym chyba przykładem są wspomniane już rogatywki. Uszyto je dla kompanii honorowej wojska. Świetny pomysł! Ale nie rozumiem, dlaczego nie uszyto za jednym zamachem rogatywek dla milicji. Od razu pozbylibyśmy się tych naszych dziwacznych uprzedzeń w stosunku do chłopców w błękitnych rogatywkach. A może by doczepić ulańskie proporce do patek? Albo wyposażyć milicję konną w skrzydła husarskie? Dlaczego tego nie zrobiono w roku 1982 1983? Jakaż ręka nielicznego wyrostka ośmieliłaby się goździć w polskiego husarza? Teraz już za późno. A można było. O: Można było też wprowadzić dziwaczne nazwy dla poszczególnych jednostek milicji, by ogłosić w dzienniku telewizyjnym, że spokój w

mieście zaprowadziła brygada ZOMO imienia Bohaterów Monte Cassino. To by brzmiąco!

Albo: Zbigniewa Bujaka wytropiła, dogoniła i ujęła grupa operacyjna „Westerplatte”.

Albo: udany desant na Kościół św. Marcina, połączony z demolowaniem Komitetu Prymasowskiego zawdzięczamy grupie komandosów imienia Dywizjonu 303, zaś pochód majowy (na Starówce) rozpadły milicyjne bataliony „Zośka” i „Parasol”...

Przyznam się, że skóra mi cierpnie, gdy sobie pomyślę, że mogłem takie teksty usłyszeć z telewizora. A mogłem! Przecież była to tylko logiczna konsekwencja, wynikająca z podstawowego założenia, że patriotą polskim jest tylko ten, kto widzi Polskę wyłącznie w obecnym układzie. Ten zaś, kto dąży do (choćby tylko trochę!) — większego stopnia jej suwerenności, jest zdrajcą, szpiegiem, wrogiem i renegatem.

W kwestii czerpania z tradycji władza jest wciąż targana sprzecznymi uczuciami. Raz podkreśla swą inność, „lepszość”, a raz znów twierdzi, że jest bezpośrednim kontynuatorem tysiącletniej tradycji, że Grunwald, że Chrobry, Sobieski, a pierwszy sekretarz wywodzi się bezpośrednio od Piasta Kołodzieja. Raz tak, raz tak. Nieowładzając literatorem kradnie starym nazwę w pełnym brzmieniu: ZLP, natomiast neostowarzyszenie dziennikarzy podkreśla swą inność i przyjmuje nazwę Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Przyznam się, że pochwalam tę drugą metodę i bardzo się cieszę, że dziennikarze polscy już nie są myleni z dziennikarzami PRL.

Po trzynastym grudnia 1981 byłem przekonany, że władza przechwyci nazwę „Solidarność”. Gotów byłem zakładać się o każde pieniądze, że lada dzień usłyszymy w dzienniku radosną wiadomość o reaktywowaniu związku. Może by to była „Solidarność Robotnicza”, może „Socialistyczna Solidarność”, a może dokładnie taka sama, jak była, a może samym podziałem na regiony, z jedną tylko drobną różnicą, że — mianowicie — przewodniczącym byłby Swirgoń. Albo Rakowski. Zastanawiając się, dlaczego tego władza nie zrobiła, dochodzę do wniosku, że chyba woli trochę odczekać i — jak zwykle — przejmować tradycję, znaki i symbole dopiero wówczas, gdy już zupełnie przestanie się obawiać swego niby-protoplaszy. Już to braliśmy. AK — przypominam — to byli kiedyś bandyci, zdrajcy, odszczepieńcy, tacy sami jak Bujak, Frąsnyk, Jedynek i inni. Tak jak kiedyś oskarżano Armię Krajową o współpracę z Gestapo, tak dziś oskarża się „Solidarność” o współpracę z CIA (z braku jakiegos prawdziwego wroga na Zachodzie). Mijęto trochę czasu i władza zaczęła stawiać AK-owcom pomniki. Może tak samo będzie z „Solidarnością”, gdy władza przestanie się jej bać już zupełnie? Może już niedługo będzie można nosić znaczki — nosić?! — może w każdym kiosku będzie można kupić znaczki „Solidarności”. Może już niedługo powstanie Państwowe Muzeum Strajków, ktoś nakreśli rzewny film o Zjeździe w Hali „Olivia”, a mówcy na trybunach będą mówili: „... my, PZPR, partia, która wyrosła na tradycjach Włodzimierza Lenina i Lecha Wałęsy!”

(Felieton z roku 1987, przedruk z: Jacek Fedorowicz, *Felietony i dialogi*, wyd. Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”, Warszawa 1989).

SOLIDARNOSĆ

Biuletyn Informacyjny RKW NSZZ „Solidarność” w Białymstoku.
Redaguje kolegium: Konrad Kruszewski — red. naczelny, Tomasz Malewicz, Krzysztof Paliński, Sławomir Raube, Krzysztof Sawicki — sekretarz red., Zbigniew Suszczyński.

Adres redakcji: ul. Nowotki 13, 15-082 Białystok, pokój 213, tel. 418-458.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Druk — BZGraf. Nakład 5000 egz. Zam. 1083/89 r. Numer zamknięto 13.07.1989 r. T-3.